TYGODNIK POZNAŃSKI

PISMO NAUKOWO-LITERACKIE.

Nr 31. POZNAŃ dnia 1 Sierpnia. 1862.

„Tygodnik Poznański" wychodzi cò tydzień w Piątek. Abonament kwartalny wynosi w Poznaniu dla miejscowych 1 talar; dla zamiejscowych w Prusach na poczcie i w księgarniach: 1 1/4 tal.; w Austryi na poczcie 2 fl. 5 kr. w. a., w księgarniach 2 fl. śrb.; w Królestwie Polskiem i w Rosyi na poczcie i w księgarniach 1 rub. 58 kop. śrb.; we Francyi 5 franków; w Redakcyi 1 1/4 tal., albo 2 fl. 50 kr. w. a., za które prenumeratorom numera co tydzień do najbliższéj stacyi pocztowéj franko nadsyłane będą. Redakcya przyjmuje wszelkie listy i nadsyłki frankowane pod adresem podpisanego redaktora.

Kobieta w powieści i kobieta w życiu:

kartki luźne z teki

JANA ZACHARJASIEWICZA.

(Ciąg dalszy).

II. *Tendencyjno-zalotna.*

Są ludzie, którzy powiadają, że cel uświęca środki. Autor niepowinien nigdy wstępywać do tego zakonu. Wytłómaczmy się bliżéj w obrazku:

Kazimierz odziedziczył po stryju znaczny majątek i był podwójnie szczęśliwym. Raz, naturalnie, że miał pieniądze, powtóre, że dawnym pragnieniom serca mógł zadość uczynić. A te pragnienia serca były nader skromne. Miały one na celu ubogą, choć dosyć ładną panienkę, córkę biednego urzędnika z wydziału komisyi sprawiedliwości. Ojciec Eweliny był jego przyjacielem w czasach nie tak jeszcze świetnych, a Ewelina pokochała Kazimierza całą potęgą duszy, która tylko ubogim dziewczętom ma być właściwą.

I tak mijały ranki i wieczory, obiady i kolacye, a kochankowie przy głodzie i chłodzie marzyli o tych rozkosznych potrawach wiecznie głodnego Tantala, które za każdym jego ruchem oddalają się od niego, a które jako figura retoryczna, szczęście nasze oznaczać mają.

Więc Kazimierz i Ewelina marzyli o szczęściu swojem, które kiedyś do nich zbliżyć się miało i w tem marzeniu byli już szczęśliwi.

Ale nieszczęście nie chodzi po lasach, tylko po ludziach. Pozornie zabłysła dla nich gwiazda szczęścia, ale była ona tylko złowieszczą kometą wiele złego.

Pewnego poranku nadeszła wiadomość o śmierci stryja i testament, mocą którego Kazimierz został bogatym człowiekiem.

Piękne, nieco posażne czytelniczki domyślają się tutaj, że Kazimierz, zostawszy bogatym, porzuci zapewne biedną Ewelinę, a kupiwszy sobie zgrabny karykiel, będzie woził swego furmana po ulicach stolicy i zerkał na pierszopiętrowe balkony. Tak jednak nie było. Kazimierz pozostał wiernym Ewelinie, i tego samego dnia, gdzie już miał testament stryja w kieszeni, bawił przez cały wieczór przy Ewelinie, grał z nią w konika, a odśpiewawszy wkońcu duet z Lukrecyi, przyrzekł jéj najuroczyściéj w świecie, że w najkrótszym czasie musi zostać jego żoną.

Ale do znaczniejszego majątku przyczepia się zawsze jakieś licho. Dopóki Kazimierz był ubogim i przez cały dzień pracował, był zdrów jak ryba i nigdy go ani w boku, ani w piersiach nie kłuło. Po schedzie zaraz na drugi dzień dostał kolek i zawrotu głowy, a nawet w lewéj nodze strzykało mu coś nakształt reumatyzmu. Trzech najznakomitszych lekarzy radziło przez dwie godziny o kolkach, o głowie i reumatyzmie bogatego człowieka i zgodzili się na wody Karlsbadzkie. — A że to właśnie była pora kąpielowa, Kazimierz uściskał Ewelinę, przytulił płaczącą do swéj piersi i przysiągł na Perkuna i Znicza, że najdaléj za dwa miesiące wróci z wód i przystąpi do ołtarza, aby na wieki z nią się połączyć. I odjechał koleją żelazną.

O jakże kruche jest szczęście człowieka! Jak złudne są jego marzenia!

Licho nadniosło do Karlsbadu jakąś starą ciotkę Kazimierza. Wypadało zrobić jéj wizytę. Ciocia była to kobieta światowa. Lubiła otaczać się towarzystwem i miała środki po temu.

Pewnego wieczora było liczniejsze zebranie u cioci. Na stole, obok nieuniknionego chleba z masłem, były także dwa torty i dwa półmiski z jakąś zimną leguminą. Choć to była godzina już dosyć późna, gospodyni nienalewała jeszcze herbaty, jakby na kogo czekała. I w saméj rzeczy, koło godziny pół do dziewiątéj, otworzyły się drzwi saloniku, a na progu pojawiła się młoda, prześliczna kobieta.

— Och! och! mimowolnie zawołali mężczyźni.

— A! a! przeciągle zawtórowały kobiety!

I w saméj rzeczy, kobieta, która teraz do saloniku weszła, godną była ze wszech miar tego patetycznego wykrzyknika. Kazimierz, który przed chwilą ze łzami czytał długi list Eweliny, rozdziawił gębę i zapomniał się na chwilę. Była to piękność czarująca w całem znaczeniu tego słowa.

— Pozwól Leonio, niech ci przedstawię mego kuzynka, rzekła ciocia ciągnąc Kazimierza za rękę.

Kazimierz coś tam bąknął i urwał, bo nagle błysnął mu w oczy cały szereg białych pereł, a nim jeszcze do siebie przyjść zdołał, uczuł uścisk rączki axamitnéj, obaczył cudowny uśmieszek na prześlicznéj twarzy i usłyszał słowa pełne słodyczy, wypowiedziane z jakąś dziwną wibracyą głosu.

— Ach, cieszyłam się na przybycie Pana. Jam tu-

taj tak obcą! Prócz cioci Pana nie mam bliższych znajomych! A tak to już dobrze będzie. . . . Będziemy robić wycieczki . . . lubisz Pan konno jeździć? . . .

Jakieś nagłe krząknięcie przerwało jéj słowa, a gdy Kazimierz oglądnął się za siebie, zkąd ten głos był wyszedł, ujrzał sążnistego wąsacza, który jakoś niekontent był z téj rozmowy i wąs swój niemiłosiernie targał. Kazimierz uśmiechnął się i pomyślał sobie: Jak mi zazdroszczą! I Leonia spojrzała z ukosa na wąsacza i uśmiechnęła się, ale uśmiech jéj był jakoś surowy, karcący niegrzeczność sążnistego gościa. Na tem skończyło się pierwsze poznanie, poczem przystąpił wąsacz do Kazimierza i rzekł do niego:

— A co, panie, ładna kobietka! Znam ją zdaleka. Jest pełnoletnią i rozrządza swoją ręką.

Kazimierz chciał w téj chwili pomyśleć o Ewelinie, ale na to zabrakło mu czasu. Nie widział nawet złośliwego uśmiechu wąsacza, lecz spojrzał na Leonią, która usiadłszy na kanapie i zatopiwszy się z właściwą sobie żywością w rozmowę, odkryła przypadkiem tak maleńki bócik prunelowy, o jakim Kazimierz żadnego nie miał wyobrażenia! . . .

I nastąpił w życiu Kazimierza dziwny epizod. Bawiono się i robiono wycieczki w poblizkie góry. Czy to konno, czy pieszo Kazimierz musiał być zawsze przy Leonii, bo tego Leonia żądała. Z każdym dniem coraz większe skarby odkrywał w téj dziwnéj kobiecie. Dowcip, trafność sądu i rozległe wiadomości tak olśniły wzrok jego, że prócz niéj nic innego w Karlsbadzie nie widział. Do tego jeszcze przyczyniała się tu dziwna jakaś sympatya, okazywana mu przez nią z wielką nawet ostentacyą. A wszystko to było tak szczere, tak serdeczne, tak chwytało za serce! . . . Ilekroć ich ręce razem się spotkały, uczuł zawsze lekki uscisk, z razu niby od niechcenia, potem niby z przyjaźni i zażyłości, a wkońcu tak jakoś widocznie inne miały znaczenie te ściskania, że Kazimierz zaczął na seryo o nich myśleć i nad sobą się zastanawiać.

Oszołomonionemu widokiem tak nadzwyczajnéj kobiety wcale uszło z uwagi, że przy wszystkich rozrywkach i wycieczkach był ów wąsacz obecny i że prawie zawsze mocno się niecierpliwił, gdy Kazimierz zbyt długo rozmawiał z Leonią. Ale innych mężczyzn było tyle, a on tak jakoś obcym był dla Leonii! A nawet często widział, że Leonia rzuciła na niego wzrokiem pewnéj dumy, a nawet pogardy, jeźli zachowanie się jego w jakikolwiekbądź sposób zdawało się jéj ubliżać.

Po kilku tygodniach, podczas pewnéj nocy bezsennéj, zrobił Kazimierz rachunek z swojem sumieniem, z czego okazało się; primo: że przez dwa tygodnie do Eweliny nie pisał; secundo: że sam nie wiedział, co jéj pisać, bo fałszem zawsze się brzydził, a tego co dzisiaj w jego duszy się działo, nie mógł jéj wprost powiedzieć. Czekał więc jeszcze dwa tygodnie, myśląc sobie, że jakoś to przeminie.

Dwa tygodnie minęły — rachunek sumienia wypadł jeszcze gorzéj. Giętka i elastyczna póstać Leonii stała mu dniem i nocą przed oczyma, jéj śliczne, czarne oczy nieodstępowały go ani na krok. A gdy sobie przypomniał, jak razu jednego, gdy w lasku sam na sam się przechadzali, te czarne oczy napełniły się łzami, jak mu śród płaczu wyznała, że jest tak bardzo i bardzo nieszczęśliwa ... i gdy sobie przypomniał, że w téj słabéj chwili jakoś goręcéj, jakoś inaczéj za rękę go ścisnęła; wtedy uczuł naprawdę zawrót głowy, uczuł kolkę w lewym boku tuż blizko serca i nad biedną Eweliną mocno się zafrasował. . .

I tak mijały dzień po dniu, tydzień po tygodniu, aż pewnego pięknego wieczora, przetańczywszy z Leonią kontradansa, przyszedł Kazimierz do tego niezłomnego przekonania, że bez téj kobiety żyć nie może! . . .

Rachunek więc był już skończony, pozostała tylko jeszcze subtrakcya. Wypadało bowiem od sumy szczęścia odciągnąć Ewelinę i nad tem to teraz przemyśliwał Kazimierz. I wreszcie po długich dwóch miesiącach napisał do Eweliny długi list i serdeczny, w którym mówiąc wiele o niewygasłéj przyjaźni, przygotował ją zwolna na to, co wkrótce nastąpić miało. Sam zaś postanowił z Leonią rzecz zakończyć. Biedna Ewelina! . . . .

Zaraz na drugi dzień szukał sposobności, aby z Leonią sam na sam się rozmówić. — Ale właśnie był to dzień feralny. Leonia miała zawsze kogoś przy sobie i tylko czarne jéj oczy chodziły za Kazimierzem po ciemnych kątach sali. Na drugi dzień deszcz padał, a Leonia była cierpiąca. W trzecim dniu było już niebo łaskawsze. Były momenta, w których Kazimierz mógł coś przemówić do Leonii, ale przez dziwne jakieś nieporozumienie nigdy do tego przyjść nie mogło. Leonia snać nieprzeczuwała intencyi Kazimierza, bo zawsze szyki mu popsuła, odchodząc nagle od niego, lub przywołując tę lub ową towarzyszkę do siebie. Nigdy nie mógł być z nią sam na sam.

Przez kilka dni trapił się w ten sposób biedny Kazimierz i narzekał na dziwaczny zbieg okoliczności, że do Leonii właśnie teraz przystąpić nie może, podczas gdy przedtem zawsze po temu zdarzała się sposobność.

Wreszcie postanowił tę sprawę listem załatwić. — Zamknął się więc w swoim pokoiku zaraz z wieczora, rozkazał służącemu, aby wszystkim, niewyjąwszy cioci, oznajmił, że pana w domu nie ma, a sam zasiadł do pisania, aby na jutro rano wygotować owe pismo tak wielkiéj doniosłości. Że go kocha, o tem nie wątpił, chodziło tylko o formę.

List udał się wybornie, a że już było po północy, więc Kazimierz położył się do łóżka, aby śnić o Leonii.

Rano o ósméj przyszedł, jak zwyklę, na kawę do ciotki. List miał przy sobie w pugilaresie.

— A gdzież to wasze bywałeś wczoraj? zapytała ciocia, dokładając mu kożuszka do kawy; biegałeś wasze za pannami, a u mnie była Leonia z pożegnaniem. Wypytywała się o ciebie, i żal jéj było, że cię niepożegnała! —

Kazimierz rozlał kawę i wypatrzył się na ciotkę.

— Leonia odjechała! krzyknął i zerwał się nagle z krzesła.

— Dzisiaj rano miała wyjechać, odpowiedziała ciocia z uśmiechem.

Kazimierz wybiegł z pokoju. Przetrząsł cały dom, w którym mieszkała Leonia, ale napróżno. Po Leonii już miejsce zastygło! . . . Chciał się dowiedzieć, gdzie, dokąd pojechała, ale nikt o tem nie wiedział, a nawet i ciocia. Leonia nikomu nic nie mówiła, a zapytania czynione do niéj w tym względzie, zbywała jakoś zbyt niejasno. —

W rozpaczy niewiedział Kazimierz co począć. Przyszedł mu na myśl ów wąsal sążnisty, który zdawał się znać Leonią. Pobiegł do niego. Rzecz dziwna, wąsal

wyjechał téj saméj prawie godziny, co Leonia. Ostatnia nadzieja zawiodła go.

Trudno odgadnąć, co Kazimierz daléj uczynić zamyślał, bo wszelkie zamysły jego zostały nagle przerwane dziwnem zdarzeniem. Listonosz przyniósł mu list od Leonii. . . .

Leonia pisała:

„Drogi i zacny Przyjacielu! Gdy list ten do rąk twoich się dostanie, już mnie w Karlsbadzie nie będzie. Był to czas ostateczny, aby zerwać ułudną tkankę marzeń, która coraz więcéj ściskała serce moje, gdym patrzała na rosnące twoje ku mnie przywiązanie. Nie uszło memu oku, że z każdym dniem rosło twoje uczucie dla mnie. Wreszcie przekonałam się, że mnie kochasz. Myśl ta zatrwożyła mnie. Lękałam się o ciebie, mój przyjacielu, i lękałam się — o siebie. Tak jest, o siebie lękałam się, bo zkądże bierze siłę słaba kobieta? Z czemże to wystąpić do walki przeciw własnemu, wzburzonemu sercu?... O przyjacielu! Jam cię wskroś widziała! Jam patrzyła na najskrytsze twoje myśli i z trwogą obaczyłam, że się gotujesz do kroku, który dla mnie byłby tak niebezpieczny!... Chciałeś mi wynurzyć twoją miłość, widziałam to. Dla tego unikałam cię w ostatnich kilku dniach, aby tobie i sobie oszczędzić kilka gorzkich momentów! . . . i dla tego wyjechałam z Karlsbadu! . . . . . bo twoją już być nie mogę! Kiedy te słowa czytasz, jestem już żoną drugiego! . . . . A teraz wyjaśnię ci rzecz całą. Zapewne widziałeś w niejakiem oddaleniu odemnie, w Karlsbadzie, mężczyznę słusznego zwrostu, z czarnym wąsem. Był to pan Edmund, towarzysz mojéj młodości . . . i mój kochanek. Kochałam go od lat najmłodszych i kocham go dotąd całą duszą! . . . . Ale Edmund był człowiekiem nałogowym. Grał hazardownie w karty. Postanowiłam wyleczyć go z téj brzydkiéj namiętności, nawet ofiarą cierpień moich, bo czegóż nie jest zdolną kobieta kochająca? . . . . . . Poprzysięgłam, że póty za obcego uważać go będę i dręczyć niepewnością uczuć moich, póki z nałogu zupełnie się nie wyleczy. On mnie kocha szalenie; wiedziałam, że widząc mnie komu innemu sprzyjającą, wydobędzie wszystkie siły z siebie, aby się uleczyć i mnie nie stracić! . . . Okazywałam ci więc względy większe, niżelim była powinna; ale daruj, daruj to biednéj kobiecie, która z miłości gotowa zapędzić się aż do własnego omamienia! . . . Dziś rok właśnie już minął, jak Edmund w karty nie gra — dziś zostanę jego żoną! A ciebie, mój drogi Przyjacielu żegnam najserdeczniéj, unosząc z sobą jedne z najpiękniejszych wspomnień w życiu mojem! Wiem, że znajdziesz anioła, który cię tak pokocha, jak na to zasługuje piękne twe serce! — Twoja przyjaciółka: Leonia."

Kazimierz zapomniał o obiedzie i wieczerzy, zapomniał o lekarzu kąpielowym i o cioci i jeszcze téj saméj nocy wyjechał z Karlsbadu.

Przybywszy do Warszawy, nie poszedł do Eweliny, tylko rozebrał się i położył do łóżka.

Przez trzy dni miał gorączkę. Zrywał się i bredził najdziwaczniejsze rzeczy.

Czwartego dnia przyszedł do niego ojciec Eweliny, bo dopiero dowiedział się o jego przyjeździe. Kazimierz rad nie rad zabrał się i mocno zakłopotany wyszedł z ojcem Eweliny.

Blada, spłakana przyjęła Ewelina kochanka. Z poza łez patrzała w smutne jego oblicze i rzekła:

— Tyś taki blady, mój drogi! . . . Tyś tęsknił za twoją Eweliną! . . .

Kazimierz uśmiechnął się gorzko, przesunął ręką po czole, jakby ztamtąd chciał coś strącić i odparł nieśmiało:

— A tak . . . tak . . . tęskniłem, moja droga . . . i teraz jeszcze tęsknię! . . .

— Jakiż on miły, poderwała dziewczyna, z tą swoją excentrycznością! Wszak mnie już masz, tu, obok siebie . . . masz na zawsze, na wieki! . . .

Mówiąc te słowa, tak jakoś dziwnie przysunęła się do niego, że Kazimierz uczuł gorący jéj oddech, usłyszał gwałtowne bicie jéj serca, i zdawało mu się, że jakaś iskra elektryczna uderzyła nagle w jego schorzałe serce. . . .

Spojrzał na Ewelinę. Wydała mu się w téj chwili piękną, a nawet czarującą. Jéj oczy zaszły łzami, a były to łzy szczęścia!

Kazimierz pochwycił ją w objęcia, uścisnął serdecznie i na bladych jéj ustach złożył gorący pocałunek.

W téj chwili zniknęły mu z przed oczu wszelkie złowrogie widma karlsbadzkie, a za trzy tygodnie był najszczęśliwszym mężem pod słońcem. . . .

Przyprowadziwszy np. autor swój rysunek do tego punktu, miałby słuszną pokusę powiedzieć w epilogu:

Jakto dziwnie Opatrzność wszystkie rzeczy kieruje do dobrego! Bez téj małéj nauczki w Karlsbadzie nie byłby może Kazimierz cenił tak wysoko swego szczęścia, jakie mu biedna Ewelina gotowała? . . . A Leonia? . . . Leonia zachowała nader miłe wspomnienie o Kazimierzu i często przed swemi przyjaciołkami mówiła, żeby nie chciała drugi raz spotkać się w życiu z Kazimierzem. Przyjaciółki jéj spostrzegły, że mówiąc o Kazimierzu, smutniała nagle i długo, długo była zamyśloną. Ale hart duszy i woli nieugiętéj chronił ją od wszelkiego wynikającego ztąd niebezpieczeństwa. Postanowiła użyć pięknych i rzadkich przymiotów duszy i ciała na wyratowanie towarzysza młodości z ohydnego nałogu i dokonała tego z całą konsekwencyą kochającéj kobiety. A jeźli kiedy towarzysz młodości okaże diagnozę recydywy, Leonia ma wswéj apteczce domowéj tyle na to środków i środeczków, że Edmund jak najspiesznéj porzuca faraona i ruletę i powraca skruszony do stóp kochanki. Leonia ma to przekonanie, że z czasem radykalnie go wyleczy, a to jéj usiłowanie, to poświęcenie się i nadzieja stanowi całe jéj szczęście na ziemi.

I na tem koniec. Autor i piękne jego czytelniczki mocno z siebie zadowoleni.

Przydłużmy jednak nieco daléj dane przez autora linie rysunku. Z powieści przejdźmy do życia.

Dajmy na to, że gdzieś za granicą spotykamy się po kilku latach z Leonią. Jestto kobieta w pełni życia, une femme de trente ans, jakie Balzac najlepiéj lubi, otoczona całą aureolą wdzięków umysłu i ciała. Wesoła, dowcipna, prześlicznych czarnych oczu, osłonionych jakimś przyćmionym blaskiem aksamitnym, jest ona przedmiotem podziwienia wszystkich mężczyzn. Gdzie się tylko zbliży, wszystkich zachwyca, czaruje. Jestto kobieta tem niebezpieczniejsza, że jéj wdzięki nietylko biernie działają. Ma ona uśmiech, słodkie słówka dla każdego, a do uścisku ręki á l'anglaise, bardzo jest skorą. To wszystko spoufala ją prędko i podbija. Mężczyźni

sznurem ciągną za nią, bo wszystkim zdaje się, że mają, lub mogą mieć u niéj małe względy i względziki.

W takiem otoczeniu widzimy Leonię, a zdala zachodzi nam przypadkiem drogę niefortunny autor powieści. —

— Patrz autorze, to twoja Leonia!

— Do usług panie! — Wyborna kobieta, bardzo szczęśliwy typ mojéj powieści.

— Czy sądzisz, że państwo Edmundowie są szczęśliwi? —

— Nieinaczéj. Wątpić o tem byłoby świętokradztwem. —

— Mnie bo się się zdaje . . . że ta kobieta . . . . jest . . . raczéj ma trochę, troszkę za wiele kokieteryi.

Autor uśmiecha się z zarozumiałością i mówi naciągając rękawiczkę:

— O wy krótkowidzący! wy, którzy nigdy niezajrzeliście do warsztatu serca i duszy ludzkiéj! Patrzaj, dla takiego jak Edmund człowieka potrzeba takiéj Leonii, ażeby nie wrócił do rouge-noir. Zresztą dla najtkliwszego męża potrzeba ze strony małżonki nieco kokieteryi, aby nerwy jego utrzymać w téj nieustannéj wibracyi, którą miłością nazywamy. A cóż dopiero mówić o Edmundzie, który heroicznéj potrzebuje medycyny! . . . . . A dla sielankowego Kazimierza była taka Leonia potrzebna, aby miał małą nauczkę i dawne szczęście swoje należycie cenił. . . .

— Ależ łaskawco, ja na seryo obawiam się o Edmunda! Kobieta, która ma tyle wdzięków i która temi wdziękami ciągle wojuje, i wszystkich zwycięża, popada w wielką pokusę, aby z zwycięztw swoich niezapragnąć jakich korzyści. . . .

Autor roześmiał się z politowaniem.

— Zresztą, kochany autorze, przyzwyczajenie staje się naturą. A zalotność Leonii, mimo najszlachetniejszego pierwotnego jéj przeznaczenia, stała się, według mego zdania, już jéj naturą. Widać to po tem wprawnem oku, po tych rakach, po téj mistycznéj modulacyi głosu, po tem ustawicznem dotykaniu się rękami rąk cudzych, że tymczasowa jéj rola przedsięwzięta w celu szlachetnym, stała się dla niéj potrzebą. Ona już żyć nie może, aby nie kokietować i podbijać. . . .

— I cóż daléj? . . .

Co daléj? . . . daléj . . . cesarzowa Katarzyna w swoich pamiętnikach mówi: „Byłam próżną i lubiłam zwyciężać. Nie wiedziałam, że od zwycięztwa do upadku jest tylko krok jeden.“ . . .

— Ba, ale jest przecież krok . . . krok duży, krok rosłego człowieka. . . .

— A nasze staropolskie przysłowie mówi: „Kto czem wojuje, od tego ginie.“ . . .

— Widzę, że się z panem nie zgodzę, pan napastujesz ludzi na gładkiéj drodze! Adieu!

Tak rozstaliśmy się z autorem, który litował się nad naszemi parafiańskiemi wyobrażeniami o kobiecie.

Na drugi dzień rozeszła się po całym hotelu wieść dziwna. Pani Edmundowa wyjechała bez pożegnania się z mężem — z sekretarzem ambasady hiszpańskiéj. Pan Edmund za dwa dni wyjechał także, ale do Homburga i zasiadł do — rulety, nie myśląc wiele o żonie wiarołomnéj. —

W kilka tygodni potem widziałem się w Warszawie z Kazimierzem. Jego żona jest miła kobieta. Kocha męża z całego serca, i tylko przed najzaufańszą przyjaciółką swoją, córką komisarza 4go cyrkułu miejskiego, zwierza się z swojem cierpieniem, że Kazimierz cierpi czasami na melancholię.

Może być, że wspomnienie Karlsbadzkie przychodzi mu czasem przed oczy. Utracił bowiem Leonię, gdy całą aureolą wdzięków swoich przed nim rozwinęła, utracił ją w chwili, gdy był przekonany, że bez niéj żyć nie może, gdy olśniony jéj blaskiem, nie mógł jeszcze żadnéj ciemnéj na niéj dostrzedz plamki. A list jéj zamiast ją poniżyć, podniósł ją tylko w oczach nieszczęśliwego Kazimierza! . . . Może być, że w takich melancholijnych chwilach staje mu obraz Leonii przed oczyma . . . szczęście, że Ewelina o tem nie wie! . . .

Serce kobiece, jest-to święte, westalskie naczynie wiecznego ognia. Autorowi nie wolno używać go za tygiel do hazardowych experymentów. Z podłego kruszcu niewypraży i tam złota! Jakaż ztąd korzyść i nauka dla spółeczeństwa? . . .

— Czy wiesz, moje kochanie, rzekł hreczkosiéj poczciwy do swojéj żony, że pani Alfonsowa bardzo mi się niepodoba? Mamy córki . . . możeby jéj dom nasz wymówić? . . . .

— Jaki zły człowiek z ciebie, mój ty Macieju, odparła małżonka. Toż niewidzisz, że pozorna jéj zalotność jest tylko na to obliczona, aby męża od różnych złych nawyczek odciągnąć. . . .

— Może masz słuszność, moje serce, — rzekł po chwili pan Maciéj . . . . . ja już stary na to, ja tego wszystkiego nie rozumiem. — Dziękuj Bogu, moje dziecko, że twój mąż nie miał takich nawyczek! . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rodzina poety Kaspra Miaskowskiego.

I. *Przodkowie jego.*

Nawykliśmy do mniemania, że koleje życia poetów dla tego na szczególną zasługują uwagę, iż stanowią klucz niezbędny do zrozumienia ich utworów. Powtarzają nam to do przesytu niemal przy każdéj biografii człowieka znakomitszego w literaturze, zasłaniając się owem nad zasługę wynoszonem wyrzeczeniem, że aby zrozumieć poetę, trzeba poznać kraj jego. Nieprzeczymy bynajmniéj, że jest coś prawdy w tem orzeczeniu, jednakże wzgląd ten w żywocie poety jest podobno rzeczą podrzędną. — Bo zapytajmy siebie samych, kiedy z gorączkową niecierpliwością przerzucamy karty biografii którego z naszych wieszczów, czy rzeczywiście mamy na oku wyrozumienie utworów jego i znalezienie klucza do stanowiska, jakie zajął śród swego narodu. Podobno nie, bo często życie poety jest taką samą niezbadaną poezyą, jak utwory jego, tak iż tamtem zajęci, o tych zapominamy. Jest więc coś innego, co rozbudza w nas ciekawość do rozpatrywania szczegółów życia ludzi znakomitych w piśmiennictwie.

Zaprzeczyć nie można, że życie poety z życiem narodu, którego członkiem jest, innemi węzłami jest połączone, aniżeli życie innych pospolitych ludzi. Inne też są ich myśli. To co naród jak w śnie niewyraźnym przeczuwa tylko, to poeta odgaduje i widzi jako rzeczywistość pełną życia i krasy. Ztąd więc poeta bywa

tłómaczem tych niewyraźnych snów narodu, a naród dziwi się potem, że wieszcz podsłuchał jego najskrytsze marzenia.

Ale na odwrót, naród pomazańca swego poznawszy, idzie do niego, dłoń mu podaje i każe z kresek naciętych wieszczym duchem przepowiadać przyszłość i pierś mu swą obnaża i każe z drgnień serca obliczyć bóle, jakie to serce przebolało, i zmierzyć cierpienia, jakie to serce przecierpiało. I wtenczas poeta staje się wieszczem swego narodu i swego czasu, a życie jego nie jest komentarzem tylko oschłym do pism jego, ale jest zarazem najpełniejszym obrazem życia narodu w tym okresie. W poety serce jak w serce Matki Boskiéj Bolesnéj, godzą wszystkie cięcia, które wymierzone są przeciw narodowi, a płacz i niedola narodu przechodzi do potomnych jękiem zbolałéj duszy poety.

Z téj to przyczyny życie któregokolwiek z poetów bywa dla nas przedmiotem nader zajmującym. Przerzucamy pisma poety i śledzimy najdrobniejszych szczegółów, z którychby koleje jego życia odgadnąć można. Wszakże to, co w pismach znajdujemy, odnosi się więcéj do życia jego umysłowego, aniżeli do potocznego. Obraz, który zestawiamy z rozrzuconych po pismach cieniów, przedstawia nam tylko jednę stronę z życia poety, stronę nadziemską, duchową. Do zupełności obrazu potrzeba nam poznać drugą stronę tego życia czysto ludzką i ziemską, gdyż to nie jest obojętnym przyczynkiem tylko do tego, czem się stał poeta, ale warunkiem, bez którego niebyłby może poetą, bo to bajka pono, co tam prawią o poezyi, że nie jest z tego świata, albo o duszy, że śród téj ziemskiéj pielgrzymki nie zna innéj ojczyzny, okrom téj, która jéj jest obiecana poza krańcami życia doczesnego.

Druga ta strona w życiu poety, zależna od rzeczywistego świata, przedstawia nam się najwyraźniéj w stósunku poety do rodziny jego. Ztąd też życie poety kreśląc, zaczynamy zazwyczaj od rodziny jego i ubolewać nam niekiedy przychodzi, jeźli dawność czasu nie pozwala nam bliżéj poznać tych rodzinnych jego stósunków. —

Stanowiskiem urzędowém znajduję się w tém szczęśliwém położeniu, że mogę z niejaką dokładnością podać szczegóły życia pisarza, który i czasem, w którym żył, i pochodzeniem nie jest dla nas obojętnym, a o którym dotychczas bardzo mało mieliśmy pewnych podań. —

Kasper Miaskowski, poeta złotego wieku, należy pochodzeniem i życiem do Wielkopolski. Wielkopolska też opiekowała się dotąd przeważnie jego literacką spuścizną. Po piérwszém wydaniu jego rymów krakowskiem z roku 1612, które dziś należy do wielkich osobliwości, drukowano w Poznaniu w roku 1622 wydanie drugie; a trzecie z kolei także w Poznaniu w r. 1855. Wiadomość o życiu i pismach poety skreślił do tego trzeciego wydania profesor dr. Rymarkiewicz z zamiłowaniem niepospolitém swego przedmiotu i z gruntownością właściwą nowszéj szkole historycznéj. Do tego, co uczony autor powiedział o duchu poezyi Kaspra Miaskowskiego, o jego stósunku do swego wieku i o kolejach życia, o ile z pism poety poznać je można, ledwie słów kilka dorzucićbyśmy mogli; dla tego tę stronę biografii poety pomijamy zupełnie, odsyłając ciekawszych do wydania co tylko wspomnianego. Natomiast to, co o rodzinie poety powiemy, zaczerpnięte jest wszystko z archiwu grodzkiego, które dopiéro od niejakiego czasu dla pracujących naukowo stało się przystępném. Ztąd więc szczegóły niemal wszystkie, które opowiedzieć zamyślamy, są nieznane i całkiem nowe.

Rodzina poety Kaspra Miaskowskiego przybrała swe nazwisko dopiéro około połowy wieku XV od wsi Miaskowa. Nazwiska bowiem familijne pod koniec wieku XIVgo były przymiotnikami pobyt oznaczającemi i zmieniały się podług tego, jak ludzie posiadłość i pobyt zmieniali. — Przykłady podobnych zmian są powszechnie znane, dla tego poprzestaniemy na téj jednéj uwadze, że niekoniecznie do téj saméj rodziny należą ludzie, którzy od téj saméj włości przybrali nazwisko.

I tak od wsi Czacza w powiecie kościańskim przybrali nazwisko Czaccy, synowie Henryka Zimnowodzkiego, który był kasztelanem księzkim od r. 1401—1406. I nie masz starszéj rodziny tego nazwiska, lubo jest spisany jakoby w r. 1442 dokument wymieniający w kilkunastu wierszach ośm pokoleń hrabiów Czackich, rzekomo posiedzicieli hrabstwa czackiego, które nigdy nie istniało; jestto bazgranina fałszerza pełna niedorzeczności, o któréj i trzech słów nie warto powiedzieć. — Jeden z wnuków Henryka Ziemnowodzkiego, Sędziwoj Czacki, syn Mikołaja, zostawił z żony Barbary tylko jednę córkę, także Barbarę, która poszła za Jana z Piotrowa. Piotrowski ten przeniósł się około roku 1490go do Czacza, dziedzictwa swéj żony, przybrał nazwisko Czackiego i rozpoczyna drugą rodzinę Czackich, którzy dla odróżnienia się od piérwszych Czackich nazywają się Ciołkami Czackimi, zapewne od herbu Ciołka.

Dla téj zależności nazwiska familijnego od włości posiadanéj, historya rodzin téj epoki jest poniekąd zarazem historyą miejsc. To też historyą rodziny Miaskowskich zacząć nam trzeba od wsi Miaskowa. Wieś Miaskowo leży między miasteczkami Krzywinem i Osieczną. Powstała zapewne wcześniéj od naszych najdawniejszych źródeł historycznych. W roku 1400 należała do braci Czewleja i Jarosława 1), którzy ją około r. 1415 sprzedali siostrzeńcowi swemu Piatraszowi 2). — Zostawszy dziedzicem Miaskowa, przybrał nazwisko Miaskowskiego, lecz zostawiwszy tylko jednę córkę Małgorzatę, był ostatnim Miaskowskim z téj rodziny.

Małgorzata, córka jego poszła za Mikołaja Jurkowskiego 3), którego osoba dla naszego badania jest nader ważną, bo wszedłszy do Miaskowa przez swą żonę, rozpoczyna rodzinę Miaskowskich herbu Leliwa, która wydała poetę Kaspra. Sięgniemy przeto poza niego, a przybędzie nam jeden szczegół do uzupełnienia naszych poszukiwań. Ojcem Mikołaja Jurkowskiego, męża Małgorzaty Miaskowskiéj, dziedziczki Miaskowa był Janusz Jurkowski, dziedzic Jurkowa, Osieka i Kuszkowa. Kuszkowo dokupił w r. 1399 od Stefana Krakwicza za 160 grzywien groszy szerokich praskich, jak to opiewa list wzdawny Tomka, starosty jenerała wielkopolskiego, podany do ksiąg starościńskich kościańskich w r. 1573. Tożsamość Jurkowskich i Miaskowskich Leliwczyków prócz małżeństwa Mikołaja Jurkowskiego z Małgorzatą Miaskowską i osiedlenia się tegoż w Miaskowie stwierdza nadto tenże sam herb.

W żadnym czasie nie pozywano tylu ludzi o przywłaszczenie nieprawne szlachectwa, jak za Władysława Jagiełły. — W skutek tego z zeznań świadków zapisywanych w księgę są-

---

1) Terr. Cost. 1400 fol. 143. — 2) Terr. Cost. 1419 1419, 121.

dową, urosł spory zapas bardzo cennych materyałów do autentycznéj historyi herbów, na jakiéj dotąd zbywa. Zarzucił i Januszowi Jurkowskiemu w r. 1413 przywłaszczenie szlachectwa Bawor Wyskota z Krzemieniewa, a sąd ziemski powiatu kościańskiego wedle ustawy Kazimierza Wgo nakazał Januszowi stawić dwóch świadków z rodziny ojca, 2ch z rodziny matki i 2ch obcych. Świadkom z rodziny ojca przepisał sąd następującą rotę przysięgi: „Tako nam pomóż Bóg i święty krzyż, jako pan Janusz jest nasz brat i z naszéj krwi wyszedł, naszego klejnota miesiąc i gwiazda na szczycie, zawołania Leliwy.“ Nadmieniam, że szczyt oznacza tutaj tarcz herbową, scutum, a zawołanie znaczy to samo, co hasło. Świadkowie z rodziny matki Janusza poprzysięgli tę rotę: „Jako Januszowa matka jest naszéj krwi, naszego klejnota trzy karpie o jednéj głowie, zawołania Krakwicze.“ Jest-to herb szlązkich rodzin i na Szlązku dziś jeszcze znany. Po wysłuchaniu świadków przez podkomorzego, do którego wydziału wówczas należało rozpoznawanie spraw herbowych, uznał sąd Janusza za szlachcica równego każdemu innemu.“ 4).

Janusz Jurkowski umarł w r. 1438 i zostawił dzieci Barbarę, Elżbietę, Jana, Mikołaja, Bartosza, Wincentego, magistra nauk wyzwolonych i Andrzeja 5).

Mikołaj Jurkowski ożenił się, jakeśmy już widzieli, z Małgorzatą, dziedziczką Miaskowa i zatrzymał piérwotne swe nazwisko aż do śmierci, która nastąpiła około roku 1464. 6). Trzech synów jego znajdujemy w Miaskowie już z nazwiskiem Miaskowskich, którymi byli Jan altarysta kościoła katedralnego poznańskiego, drugi Andrzej i trzeci Wojciech Miaskowski, pradziad poety Kaspra 6a).

Wojciech Miaskowski, wnuk Janusza Jurkowskiego, herbu Leliwa, a pradziad poety, ożenił się w r. 1470 z Agniészką, wdową po Janie Strzeleckim 7). Po objęciu majątku w działach sobie przypadłego zapewnił téjże żonie Agniészce posag i wiano na Miaskowie i Osieku w roku 1476. 8). Utraciwszy w kilka lat późniéj żonę, zawarł powtórnie śluby małżeńskie z jakąś Małgorzatą, któréj w r. 1485 zapewnia posag i wiano na dziedzicznych swych częściach Miaskowa i Kuszkowa 9). W r. 1488 przykupił od Strzeleckiego wieś Bodzewo 10), a w roku następnym wzniósł jako dziedzic Bodzewa ołtarz w kościele strzeleckim 11).

Po Wojciechu Miaskowskim, zmarłym w początkach wieku XVI pozostało trzech synów i jedna córka. Działów familijnych dokonano w r. 1510, w których Andrzejowi dostały się Osiek i Kuszkowo, Wojciechowi części Miaskowa i Kleszczewa, Ambrożemu Smogorzewo i część jakaś Bodzewa 12). Siostra Jadwiga wydana została około r. 1512 za Mikołaja Bojanowskiego, dziedzica Spławia, którego Spławskim téż często zwano 13).

Ambroży Miaskowski, jeden z trzech synów Wojciecha, a dziad poety Kaspra, ożenił się około r. 1517 z Anną Kociuską, córką Mikołaja Kociuskiego i zapewnił jéj w roku wspomnianym posag i wiano na dziedzictwie swem Smogorzewie 14). Odtąd Smogorzewo słynne mianowicie z urodzenia i śmierci poety Kaspra Miaskowskiego, staje się ogniskiem dla jednéj gałęzi Miaskowskich. Wieś ta leży pod miastem Gostyniem i była dziedziną rodziny Smogorzewskich, których tutaj na cząstce jakiéjś jeszcze pod koniec wieku XVI znajdujemy. Nie mamy pewności, w jaki sposób dostała się w posiadanie Miaskowskich. Że jednakże piérwszy Wojciech Miaskowski, pradziad poety, był w posiadaniu Smogorzewa, przeto przypuścić można, że wziął ją z którą z swych żon. Bądź co bądź, Smogorzewo nabrało tém większego znaczenia dla Miaskowskich, że Miaskowo samo, od którego nazwisko przybrali, dość wcześnie, bo już około r. 1470 w znacznéj części przeszło w ręce Tworzyańskich, którzy od nowego tego dziedzictwa nazwisko przybrawszy, stanowią rodzinę Miaskowskich herbu Bończa.

W historyi rodziny Miaskowskich nie będzie przeto rzeczą obojętną przytoczenie jednéj sprawy granicznéj z tych jeszcze czasów, kiedy Smogorzewo należało jeszcze do Smogorzewskich. Nie było pewnéj i niewątpliwéj granicy między Mszyczynem i Smogorzewem, a żądali jéj właściciele tych włości Pasek czyli po naszemu Paweł Mszyczyński i Jan Smogorzewski. W tym celu poruczono ustanowienie granicy sądowi polubownemu, na którego czele stał Mikołaj Błociszewski, sędzia jeneralny województwa poznańskiego. Jednacze uznali za rzecz słuszną, ażeby granicę tam oznaczyć, gdzie była połowa drogi z Smogorzewa do Mszyczyna. Lecz połowę tę wynaleźć i prawdziwość jéj na oczy powaśnionym sąsiadom wykazać nie było rzeczą tak łatwą. Cóż więc robi sędzia Błociszewski? Zakłada sznur za wał wiatraka smogorzewskiego, prowadzi go przez pola, groble i lasy aż do Mszyczyna, a potem we dwoje złożywszy, połowę drogi wykazuje. Ciekawa ta sprawa graniczna zapisana jest w księdze ziemskiéj kościańskiéj pod r. 1422, 15), lecz rozgraniczenie nastąpiło kilku laty wprzódy, bo sędzią województwa poznańskiego w r. 1422 był Pasko czyli Paweł z Gogolewa, a sędzia Błociszewski zmarł już w r. 1419.

Opowiedziany sposób rozwiązania wątpliwości nie powinien nikogo dziwić, choćby się dzisiejsi miernicy zżymać na niego mieli. Właśnie przy oznaczeniu granic po wszystkie czasy i u wszystkich narodów najdziwaczniejsze znajdujemy postępowanie. Za dowód posłuży nam sprawa graniczna z r. 1425go między Osieczną a Rusinowem. Henryk Wyskota z Rusinowa pobudował się na saméj granicy między polami rusinowskiemi a osieckiemi. Łatwo sobie wystawić można, że przyległe pola Macieja Borka z Osieczny, późniejszego kasztelana nakielskiego, służyć musiało do przechadzek różnéj drużynie rogatéj i nierogatéj pana sąsiada. Na zażalenie Macieja Borka sąd ziemski kościański zawyrokował, że w oznaczonym dniu strony sąsiadujące wraz z osobami przez sąd do tego wysadzonemi udadzą się na granicę i że Maciéj Borek, stanąwszy na swéj granicy, rzucać będzie siekierą przez zabudowania Henryka Wyskoty, a wszystkie budynki natychmiast rozwali, przez które siekierą przerzuci 16).

Przytoczona wyżéj sprawa graniczna popiéra zarazem nasze twierdzenie, że Smogorzewo było piérwotnie w ręku Smogorzewskich. Kiedy się takowi z tego swego gniazda wynieśli, nie jest nam wiadomo. W drugiéj połowie w. XVI Miaskowscy nie są jeszcze wyłącznymi dziedzicami téj wsi; na jakiéjś części Smogorzewa siedziało jeszcze siedmiu braci Krzyżanowskich 17). W ogóle pomyliłby się, ktoby sądził, że w ubiegłych wiekach prawo dziedziczne służyło we wsi jednéj wyłącz-

3) Terr. Cost. 1449, 385. — 4) Terr. Cost. 1413, 69, 82. — 5) Terr. Cost. 1438, 94. — 6) Terr. Cost. 1464, 347. — 6a) Ins. Cas. Cost. 1475, 37. — 7) Res. Cas. Posn. 1470, 93. — 8) Res. Cas. Posn. 1476, 65. — 9) Res. Pos. 1485, 36. — 10) Res. Pos. 1488, 100. — 11) Res. Pos. 1489, 115. — 12) Res. Pos. 1510, 219. — 13) Ins. Pos. 1516, 60. — 14) Res. Pos. 1517, 164.

15) Terr. Cost. 1422, 32. — 16) Terr. Cost. 1425, 118. — 17) Res. Posn. 1551, 622.

nie osobie. — Za przykładem Bolesława Krzywoustego dzielili między siebie synowie wieś spadłą po ojcu, a wnukowie tak samo dzielili części téj wsi na mniejsze jeszcze cząstki. Doprowadziło to do rozdrobienia majątków, które nam Miaskowski między Mazurami tak opisuje 18):

rozrodzone szlacheckie ich plemię
Jako szarańcza przykrywszy tam ziemię,
Do czego kiedy ojczyźnie się zgodzi?
Do rady? — na targ rychléj z kijem godzi;
Na wojnę? — żonkę zarazem on woli,
Chocia nie orze trzech zagonów roli.
Siermięga ubiór, a to więc mąż dziarski,
Co ma u gęby miąższy wąs sitarski.
Najdzieć tam rozum, najdzieć i osoby,
Zkąd téj koronie przybywa ozdoby;
Mają gospodę, szczerość tam i cnota,
I bojaźń Boża, i w domu ochota.
Widzieć i wzgórę wywiedzione dwory
I pełne gumna i płodne obory;
Ale schłopiałéj (odpuść) szlachty więcéj,
Że nie ma orda tak wiele tysięcy.

To, co poeta o Mazurach powiedział, można bez wahania się i do Wielkopolski zastósować. Nasza szlachta w w. XVI i XVII był to niesłychanie rozrodzony i liczny stan średni na szczupłéj zazwyczaj osiadły grzędzie, nawykły do pracy, chętny zawsze do korda, poświęcony dla kraju i nie znający zbytku, który na dworach panów pochłaniał nietylko dostatki familijne, ale niestety i majątek narodowy, wyłącznie między panów rozdawany. Ten též stan średni po wszystkie wieki dostarczał prawie wyłącznie ludzi przodujących w oświacie narodowéj. Do niego należała pod każdym względem rodzina Miaskowskich.

Ambroży Miaskowski, dziad poety, zmarł około r. 1545. W r. bowiem 1547 już Jan Miaskowski, ojciec poety, jako dziedzic Smogorzewa zapisuje z przyzwoleniem matki swéj Anny Kociuskiéj procent kościołowi kościańskiemu 19), który to zapis stał się wielkiém utrapieniem dla dzieci Jana, jak to nieco niżéj zobaczymy. Troje zostało dzieci po Ambrożym: córka Agniészka, wydana za Jakóba Psarskiego, i dwaj synowie: starszy Jan, młodszy Andrzéj. Działy między dwoma tymi braćmi nastąpiły w r. 1551.

Ponieważ opis tych działów daje jakiekolwiek wyobrażenie o majątku rodziny poety, tudzież o stósunku rodzeństwa między sobą, a przytem i pod względem języka nie zupełnie jest obojętny, przeto podajemy go tutaj dosłownie 20).

Concordia Miaskowskich.

Stała się jest ugoda przez przyjacioły, a na imię przez szlachetne pany Jana Kociuskiego a Bieniasza Dąbrowskiego, stronam niżéj opisanym jednako powinowate. A to między szlachetnymi Anną nieboszczyka szlachetnego Ambrożego Miaskowskiego żoną, a Janem i Andrzejem Miaskowskimi, dziedzicmi w Smogorzewie, matką z synmi własnymi, a to o rzeczy niżéj opisane. Najpiérwéj to tak przyjaciele między nimi ugodzili, iż ci to szlachetni Jan i Andrzéj Miaskowscy zapisują się téj to matce swéj, iż póki ona żywa będzie, będą jéj powinni ci to jéj synowie et eorum successores quolibet anno na dziedzinie Smogorzewie districtus costensis, zaorować, zasiewać wszystko, a zupełne sołectwo na ich częściach leżące w tém to Smogorzewie będące, i gnój z dworu jéj wywieźć na to jéj sołectwo kożdego roku, i swymi własnymi ludźmi abo czeladzią pożąć, zwieźć, i tak żyto, jako i łąki na témto sołectwie będące do domu jéj sprzątać. Item to też zasię między nimi przyjaciele ci to postanowili abo ugodzili, iż szlachetny Andrzéj Miaskowski, brat młodszy bratu swemu starszemu Janowi tym to zapisem ugody ustępuje abo puszcza swą część dworu w Smogorzewie, w którym ociec ich nieboszczyk mieszkał, abo i matka ich z nimi spólnie. Item pan Jan zasię starszy brat za to spuszczenie dworu spólnego ojcowskiego będzie powinien temu młodszemu bratu swemu Andrzejowi zbudować dom i izbę, a budowanie tak ma być: Izba ma być dziesięć łokiet szeroka, a jedenaście łokiet długa; dom tak szeroki, jako i izba, a dziewięć łokiet długi; dwie komorze w końcu domu, chlewy, stajnie i sypanie na stajni; dwie stodole; owczarnia tak wielka, jak jest w starym dworze. A to winien zbudować do trzech lat. A ktemu też jeszcze ten to Jan Miaskowski będzie powinien temu bratu swemu Jędrzejowi we trzy lata dziesięć grzywien dać, a to iżby sobie poprawiał tego budowania wedle woli swojéj. Item pan Andrzéj zasię tego brata starszego nie będzie mógł mocą niniejszéj ugody ruszyć z dzierżenia wszystkiego a zupełnego imienia ich ojczystego i macierzystego w Smogorzewie i w Bodzewie districtus costensis do trzech lat. A to te trzy lata tak się mają rozumieć, iż ten to pan Jan ma wziąć troje żyto z pola począwszy tego roku. Item zasię jeszcze ten to pan Jan będzie powinien temu bratu swemu Jędrzejowi dawać do skończenia tych trzech lat każdy rok siedm grzywien. Item w tym to zasię nowym dworze, który pan Jan ma zbudować, abo już buduje, matka ich ma mieszkać do trzech lat, a po trzech lat, gdzieby się jéj niepodobało mieszkać z tymto młodszym synem Jędrzejem w tem nowem budowaniu, tedy ci to synowie będą jéj powinni spólną ręką i na spólnym placu zbudować dom, izdbę, owczarnią, stodołę, chlewy w Smogorzewie. Item ciż panowie Miaskowscy mocą niniejszéj ugody zapisują się szlachetnéj Agniészce, siestrze swéj po ściu jéj za mąż we dwanaście niedziel półtrzecia sta złotych po trzydzieści groszy każdy złoty licząc; a wyprawę coby stała pięćdziesiąt złotych także w monecie polskiéj położyć u ksiąg grodzkich kościeńskich. A tę niniejszą ugodę mają wszytcy, abo kóżda strona z nich osobliwie, i ich potomkowie we wszystkich punktach i klausulach dzierżeć i jéj dosyć czynić pod zakładem dwustu grzywien pieniędzy monety i liczby polskich w koronie idących."

W tymże samym roku bezpośrednio po dokonaniu działów majątkowych, ożenił się Jan Miaskowski z Zofią Chełkowską, córką Wincentego Kembłana Chełkowskiego 21); ztąd to poeta nazywa matkę swą Zofią z Chełkowa Kembłanowną; właściwiéj jest nazywać ją Zofią Chełkowską, bo Chełkowskimi nazywają się i dziś jeszcze potomkowie téj rodziny, a przydomku Kembłan używały i inne rodziny, np. Karmińscy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozmaite wiadomości.

Wiedeń w Lipcu

— ? — Orzekłszy nieco w krótkości o najdawniejszéj cerkiewnéj literaturze serbskiéj w poprzedzającym liście, przystępujemy obecnie do wyłuszczenia najstarszych treści świeckiéj zabytków, pisanych wszelakoż w języku również cerkiewnym, i to nietylko w saméj Serbii, ale także w inszych krajach południowéj Słowiańszczyzny.

18) Rytmy cz. II, str. 186. — 19) Resig. Posn. 1547, 316. — 20) Inscr. Posn. 1551, 464.

21) Resig. Posn. 1551, 620.

B 1) Rodoslow czyli opisanie panowania następujących królów serbskich; jako to: Urosza, Dragutyna, Miłutyna i Deczanskiego od r. 1272 — 1336. przez równoczesnego świadka, Daniela, arcybiskupa serbskiego. Rękopis kroniki téj znajduje się w klasztorze chilendarskim na górze Athos. Temuż Danielowi przypisuje Kopitar także tłómaczenie książki zwanéj: „Kormczaja Kniga.“ 2) Ljetopis, zwany chilendarskim; jest to maleńka kronika, może nawet jednocześnie z rodosłowem napisana. 3) Carostawnik albo Troadnik, latopis daleko późniejszy od powyższego, opiewający panowanie książąt serbskich, bółgarskich, greckich oraz ruskich, sporządzony przez nieznajomego autora. 4) Księga praw cara Duszana z r. 1349, któréj rękopisy znajdują się w archiwum hr. Tököliego w Aradzie i w nowosadzkiéj bibliotece gimnazyalnéj.

Ten to okres jest dla Serbii najważniejszy i najpiękniejszy; w nim stanęła ona bowiem jako państwo potężne i poważne, przeniknione wielką ideją wewnętrzną i zewnętrzną, odznaczające się wyrazistym ducha narodowego rozwojem tak w urządzeniach administracyjnych i sądowych, jako też w literaturze; rokujące zatém długie istnienie oraz piękną dla całéj Słowiańszczyzny południowéj przyszłość. Z ustaleniem silnego rządu narodowego skrzętnie brano się do pracy umysłowéj, uzupełniano więc księgi kościelne i pisano téż różne dzieła religijne. Poczet uczonych księży pomnażał się z każdym rokiem. Ztąd poszło, iż uczeni, zwłaszcza księża serbscy, rozchodzili się także po inszych krajach słowiańskich, mianowicie po Rusi i Moskwie, i przynosili z sobą rękopisy stare, które z ojczyzny swojéj zabierali. Na dowód przytaczamy Cypriana, arcybiskupa kijowskiego, rodem Serba, którego około r. 1376 do Kijowa powołano. Lecz niestety, pomimo tego wszystkiego, nie mamy przecież z téj tak świetnéj dla Serbii epoki, dostatecznéj ilości pomników literackich! Przyczyną tego są bez wątpienia ustawiczne, a przy tém nieszczęśliwe wojny, które Serbija dla własnéj obrony prowadzić musiała; szczególnie zaś napady tureckie, a ostatecznie zupełne zniszczenie kraju po nieszczęsnéj bitwie na polach kosowskich. Jakoż zaprzeczyć także niepodobna, iżby niejedna praca, zwłaszcza w dziedzinie religii i historyi, nie miała jeszcze dotąd w ukryciu spoczywać pod pyłem klasztornym, dajmy na to, w Lawrze studnickiéj, deczańskiéj lub ipeckiéj — czyli właściwiéj mówiąc — w Epirze, dawnéj patryarchów siedzibie?

Z dopiero co opisanych czasów pozostało także kilka dyplomatów; mianowicie zaś: zapis cara Łazarza z roku 1381, uczyniony klasztorowi Rawanickiemu; a z późniejszych czasów: zapis sułtanki Mary, córki księcia Jeżego z r. 1479. Również wspomina Brankowicz w swéj historyi serbskiéj o pewnym z owego czasu dziejopisarzu serbskim, zwanym Jerzym, który był igumenem klasztoru studnickiego. W r. 1385 bółgarski król Aleksander kazał przetłómaczyć Konstantyna Manasę, kronikarza bizantyckiego, na język bółgarski. Rękopis ten znajdował się w bibliotece watykańskiéj. Opowiadają także, iż za czasów Macieja Korwina Turcy pisali dyplomata swoje w języku bółgarskim, a sam Maciéj Korwin miał dobrze mówić po bółgarsku. Bogdan Raksicz, kustosz Bołgaryi, tłómaczył rozmyślania ś. Bonawentury na język bółgarski, które w r. 1638 w Rzymie drukowano. Jerzy Brankowicz, wojewoda serbski, pisał historyją serbską od najdawniejszych czasów aż do cesarza Leopolda I. w języku cerkiewnym.

Owoż z tym to Brankowiczem kończy się epoka cerkiewnéj literatury u południowych Słowian, a właściwie u Serbów. Dwie nader ważne okoliczności zajmują teraz naszę uwagę; dla tego o nich tutaj wspomnieć musimy. Po zupełném podbiciu Serbów przez Turków, ze szczętem upadła także wszelka oświata oraz wszystko, co się z nią łączyło, i do tego przyszło, iż kilkadziesiąt tysięcy rodzin opuściło różnemi czasy Serbiję, a usadowiło się w bezludnych okolicach Węgier południowych. Otóż ci to osadnicy poczęli teraz się ruszać i umysłowym pracom pilnie oddawać. Ocknąwszy się po srogich nieszczęściach jęli się również używania języka narodowego, żyjącego, we wszystkich pismach swoich, zarzucając tym sposobem dawny zwyczaj pisania w języku kościelnym. Zastanowienia godném zjawiskiem jest, iż inne odłamki plemienia serbskiego daleko wcześniéj wszedłszy na podobną drogę, poświęciły się z szczególniejszą pieczą językowi narodowemu, a wykształciwszy go w wysokim stopniu, pozostawiły nielada zapas pięknych prac umysłowych pokoleniom następnym, o czém wszelakoż niżéj obszerniéj się opowie. Pominąć milczeniem atoli nie możemy téj okoliczności, iż zanim względem używania języka narodowego w piśmiennictwie ogólna u Serbów nastąpiła zgoda, musiano niejednę stoczyć walkę, albowiem nowość ta wielu upartych znalazła przeciwników, którzy przy dawnym obstając zwyczaju, wszelkiemi zdanie swoje popierali dowodami. Niedziw tedy, iż w téj, że tak powiem, przechodowéj chwili, częstokroć wkradały się w piśmiennictwo serbskie rozliczne mięszaniny języka narodowego z cerkiewnym, a nawet z rosyjskim, gdyż Rosyja już w owym czasie potężny wpływ na serbskie wywierała umysły. Lecz i zaprowadzenie języka narodowego w piśmiennictwie nie podołało usunąć używania cyrylicy, za którą zwłaszcza duchowieństwo obstawało i dotąd obstaje, pomimo iż jednoplemienni Dalmatyni i insi po serbsku pisząc, używali i używają liter łacińskich i przechowali w pozostałych dziełach drogocenne języka serbskiego skarby, wypełniając tym sposobem wielką przerwę, powstałą po upadku Serbii w dziejowym kultury południowych Słowian łańcuchu, na podstawie któréj snadno teraz przychodzi stanąć w kole cywilizacyi europejskiéj, wraz z nią postępować i do powszechnego wspołem zdążać celu. Acz z bólem serca, wyznać jednakże musimy, iż przezto nieszczęśliwy powstał dualizm, nieszczęsna powstała dwoistość, dzieląca jednę i tęż samą brać na dwa obozy, które chociaż wzajemnie się nie nienawidzą, przecież tak wspólnie się nie wspierają, jakby tego potrzeba, i które już dla tego samego ziszczenie się wzajemnych celów wielce opóźniają, jakich uczciwi przyjaciele ludzkości na południu Europy niecierpliwie oczekują.

Ot Serbowie obrządku schyzmatyckiego piszą cyrylicą, a Serbowie obrządku łacińskiego oraz wschodnio-rzymskiego używają w piśmie liter łacińskich! Ztąd pochodzi, iż porozumienie wzajemne i oświata wspólna wielce się utrudniają, a błoga przyszłość się opóźnia; południowa Słowiańszczyzna zaś, — wszystko jedno, Serbija czy Iliryja, — to dla politycznego rozumu znakomita całość, to nielada wielkość, która tylko jedném znamieniem zaimponować, tylko jedném znamieniem poszanowanie wzbudzić, tudzież ostateczne uznanie zjednać sobie może! W skupianiu, a nie w rozdrobnianiu leży zbawienie! W pierwszem tkwi życie, a w drugiem śmierć! To powinno być godłem wszystkich Słowian w ogólności, a południowych w szczególności; a dla tego godła warto niejednę ponieść ofiarę, a więc też poświęcić abecadło cerkiewne, na którem rzeczywiście niewiele się traci, a daleko więcéj się zyska. Długoć to już korzystano z podobnych nieporozumień domowych; czas więc już otrząść się z tych przywar i silną dłonią ująć losy przyszłe.

Z tego przekonywamy się, że u południowych Słowian właściwie istnieją dwie literatury, z których jedna pisana cyrilicą, a druga głoskami łacińskiemi; obie zaś w jednym i tym samym języku; jeźli już pominiemy szczupłą literaturę Krainców i Wendów, śród których pewna część obecnie łączy się z piśmiennictwem serbskiem, sporządzanem czcionkami europejskiemi, a reszta dotąd jeszcze przy swéj powiatowszczyźnie pozostawa. Otóż i ztąd niemała pochodzi trudność w ujęciu i zestawieniu obu literatur w jednę całość.

Redaktor i nakładca Dr. Kaźmierz Szulc przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 19. — Czcionkami A. Poplińskiego w Poznaniu.